

Niefortunny termin „udało się” okazuje się złodziejem naszych sukcesów, bo zwykle każdy z nich przyplaca się zmaganiem, siódmymi potami, poświęceniem.

Udało się?



JACEK PAŁKIEWICZ

Podróżnik, odkrywca, reporter

Jak sięgam pamięcią, zawsze raziło mnie powiedzenie: „udało się”. Wykreśliłem je nawet z mojego słownika. Udać może się raz czy dwa, ale trudno oczekiwać, aby zawsze sprzyjał nam fart. W życiu wszystko wynika z czegoś i rzadko jest dziełem szczęśliwego trafu. Taki termin sugeruje przypadkowość, brak kontroli nad pomyślnie zakończonym, przynoszącym oczekiwane efekty czynem. Coś nie do końca od nas zależnego, czemu nie przypisuje się sprawstwa. Taka postawa pasuje co najwyżej do kontekstu loterii, konkursu czy zdraпки, w którym fortuna odgrywa bezsprzeczną rolę.

Ręce mi opadają, kiedy słyszę olimpijczyka, który po latach katorżniczych treningów, udzielając wywiadu, mówi, że udało mu się... zakwalifikować do półfinału. Ciocia Krystyna też się nieraz obnosi z tym, że udał jej się sernik. Czecheński zawodnik sportów walki po zakończeniu krwawego pojedynku w oktagonie chełpił się, że udało mu się dzięki Bogu. Innym razem sąsiadka była zadowolona, bo udało jej się kupić cebulę cukrową, a w fitness klubie doleciało moich uszu wyznanie młodej dziewczyny, że zrzuciła 14 kg, co jej koleżanka spontanicznie skomentowała: „Jakże się cieszę, że udało ci się tak schudnąć!”. Dziw bierze, że nie przyszło jej do głowy, iż to nie był spadający z nieba uśmiech losu, tylko że to efekt harówki na siłowni, nie mówiąc o uporczywości w przestrzeganiu restrykcyjnej diety.

Niefortunny termin „udało się” okazuje się po prostu złodziejem naszych sukcesów, bo zwykle każdy z nich przyplaca się zmaganiem, siódmymi potami, poświęceniem. Nie można zdobyć Mount Everestu czy przepłynąć oceanu samotnie przez przypadek. Dlatego absurdem jest pomniejszanie swojej roli w wykonaniu jakiegoś zadania czy planu i mimowolne oddanie zwycięstwa czemuś, czego nawet nie jesteśmy w stanie określić. Nie jest to zrządzenie losu, więc po co uciekać się do bezosobowego i biernego „udało się”? „Tak jak nic się samo nie robi, tak nic się samo nie udaje” – oświecił mnie kiedyś w Dąbrowie Białostockiej p. Józef.

Z tego względu w wypowiedziach należałoby świadomie i precyzyjnie kłaść nacisk na czasownik w pierwszej osobie i w aspekcie dokonanym, by określić osiągnięty wynik. Czyli: „zrobiłem”, „wykonałem”, „wygrałem”, „awansowałem”, co ma zdecydowanie korzystniejszą wymowę, niż „udało się zrobić” czy „udało się wygrać/awansować”. Taki nacisk wypowiedzi dotyczącej naszego zaangażowania w określoną aktywność ma swoją moc i bardziej przekonująco rzutuje na podświadomość. Doceniają siebie Amerykanie czy Brytyjczycy, którzy zawsze zaznaczają: „I did it”, czyli „zrobiłem to”. Statystyczny Polak natomiast pozostanie przy swojej defensywnej strategii: „udało mi się”.

Zbyt rzadko słyszymy: „Turniej się zupełnie nie układał i chociaż jeszcze na kilka minut przed końcowym gwizdkiem przegrywaliśmy, zdołaliśmy odwrócić niekorzystne losy spotkania. Mimo beznadziejnej sytuacji uwierzyliśmy we własne siły i wywalczyliśmy awans”; albo: „Potrafiliśmy wygrać w zasadzie przegrany mecz. Udźwignęliśmy presję, pokazaliśmy waleczność i pewność siebie”.

Jeżeli chce się coś w życiu osiągnąć, trzeba mieć śmiałe marzenia, nie bać się celować w gwiazdy i sięgać po niemożliwe, pamiętając przy tym, że droga do zwycięstwa nie jest prosta. Nie ma skrótów, nie obejdziesz się bez entuzjazmu, fadygi, żelaznej konsekwencji i pokładanej wiary. Za dorobek płaci się z góry określoną cenę, bez gwarancji zwrotu. Nigdy nie wolno się poddawać, bo potknięcia są nieuniknione, i nie wolno się bać porażki. Jeśli się nie uda, zawsze można spróbować ponownie. Jeśli się upadnie, powinno się wstać, otrzepać z kurzu i iść dalej. Nieraz należałoby się cofnąć, ale tylko po to, żeby wziąć rozbieg. **n**